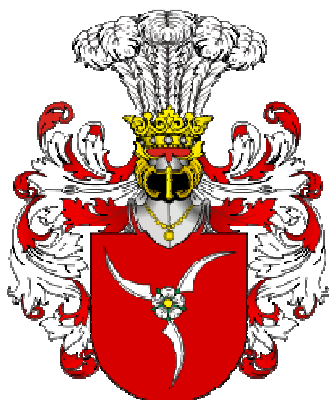
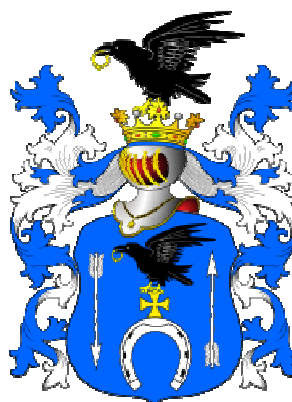


Jan KULESZA s. Walentego i Adolfiny



Herb Rola



Herb Ślepówron

HISTORIA RODZINNA

WNOROWSKICH I KULESZÓW

dostępna na stronie: www.historiarodzinna.org

*„Opowiadanie to poświęcam swoim
siostrzeńcom i siostrzenicy z prośbą
o przekazanie następnym pokoleniom”*

1. Wnorowski Mieczysław
2. Wnorowski Władysław
3. Wnorowski Tadeusz
4. Wnorowski Kazimierz
5. Wnorowski Zygmunt
6. Wnorowski Jan
7. Wnorowska (Laskowska) Krystyna Regina

RUMIA 1979 r.

Wieś Wnory Pażochy jest wsią niewielką, położoną w byłym powiecie Wysokie Mazowieckie, byłe województwo białostockie, obecnie łomżyńskie. Wieś ta jest jedną z siedmiu wsi o nazwie Wnory. Przez wieś tę przechodził gościniec tak zwany trakt z Mazowsza przez Podlasie aż na Litwę. Liczni posłowie przejeżdżali tym gościńcem. Na południe od wsi były pastwiska. Na południowym-zachodzie był las. Składał się on z przewagą drzew liściastych, ponieważ był to teren podmokły. W lesie tym spotkać można było różne gatunki krzewów, jak maliny, porzeczki i inne. Występowały też rośliny o smacznych, czerwonych jagodach zwanych kamionkami, a które zdobiły teren swym rubinowym wyglądem. A ile tam było ptactwa! Świergot ptaków, zwłaszcza wiosną przypominał prawdziwą kapelę połączoną z rechotaniem żab. Na wschód i północ były pola uprawne. Dzieliły się one na trzy części, tak zwaną trójpółówkę. Na jednej części rosła pszenica i żyto; na drugiej – uprawiano zboża jare, jak jęczmień, owies i sadzono ziemniaki. Pole na trzeciej części odpoczywało i był to tak zwany ugór. Na ugorze tym pały się już od wczesnej wiosny krowy, owce, gęsi, a nawet świnie.

Gdy zasiane zostały zboża jare i posadzono ziemniaki, ugór był zaorywany i był przygotowywany pod uprawę żyta i pszenicy.

We Wnorach Pażochach gospodarstwo rolne WNOROWSKICH miało przeszło 200 mórg dużych (300 mórg prętowych). Na tym gospodarstwie gospodarzył i żył Melchior WNOROWSKI z synem Józefem. W roku 1801 przychodzi na świat jeszcze jeden syn, któremu dano na imię GABRIEL. Chłopiec rósł zdrowo i rozwijał się dobrze, a w gospodarstwie WNOROWSKICH życie toczyło się normalnym trybem. Siano, koszone, młócono i tak rok po roku schodził. Chłopiec rósł i na swój wiek był nadzwyczaj rozwinięty. Zaczynał gromadzić wokół siebie chłopców – kolegów w swoim wieku i starszych. Organizował zabawy w wojsko, starał się ich zainteresować. Gabrielem interesowali się i starsi ludzie i twierdzili, że z niego wyrośnie jakiś wojskowy. Naukę pobierał u krewnego, który przyjeżdżał z Warszawy. Krewny twierdził, że Gabriel jest bardzo zdolny. Namawiał zatem ojca Gabriela, aby go oddał na naukę do Warszawy. Rodzice chłopca zgodzili się i przygotowali dla niego wyprawkę. Po ukończonych pracach polowych, a było to późną jesienią Gabriel wraz z ojcem Melchiorem i kuzynem wyruszył do Warszawy. W Warszawie się zadomowił. Wyniki w nauce osiągał bardzo dobre.

Ojciec tęsknił za synem. Gdy nadeszła pora wypoczynku po przerobionym materiale, ojciec przybywał do syna do Warszawy i zabierał go do rodzinnej wsi

Wnory Pażochy. Spotkawszy się przedtem z nauczycielami Gabriela, dziękował im serdecznie za nauczanie i wychowywanie syna.

Będąc w Warszawie nabył ogłady wielkomiejskiej. Był dobrze wychowany. Przechodząc koło znajomych, się im kłaniał. Z kolegami z rodzinnej wsi rozmawiał na różne tematy i nie starał się wśród nich wywyższać. Po zasłużonym wypoczynku w rodzinnej wsi nadszedł czas by wracać do Warszawy i dalej się uczyć. Na nauce zeszło mu kilka ładnych lat. Wyrósł i zmężniał. W roku 1819 otrzymał wiadomość o śmierci ojca. Matka pisała, żeby natychmiast wracał i zajął się gospodarstwem, gdyż jego brat Józef jest słabego zdrowia i nie może sam prowadzić gospodarstwa. Gabriel zmartwił się. Najgorsze to, że nie mógł dalej kontynuować nauki. Po rozważeniu sprawy, pożegnał się z profesorami, wrócił na wieś i zajął się gospodarstwem. Gospodarstwo to było zaniedbane. Wiadomo było, że ojciec przed śmiercią chorował, a jego brat Józef był słabego zdrowia. Myślał sobie od czego tu zacząć. Wziął ster swoje ręce i rozpoczął prowadzenie gospodarstwa. Brakowało mu pieniędzy. Nie upadał jednak na duchu. Organizował handlowe wyprawy do Warszawy. Wraz z innymi woził na sprzedaż zboże i inne produkty rolne, żeby zdobyć trochę pieniędzy. Inni mu odradzali, twierdząc, że takie wyprawy może przytłączyć życiem, ponieważ grasują rabusie i nie jeden wpadł już w ich ręce. Przestrogi jego nie odstraszyły. Każda wyprawa do Warszawy kończyła się sukcesem. Wracał zdrowy i cały z całym utargiem.

Handel zbożem szedł mu coraz lepiej, bo nawiązywał coraz to szersze kontakty z różnymi kupcami. Mimo śmierci ojca, w gospodarstwie zaczynało dziać się coraz lepiej. Sąsiedzi mówili, że taki sobie „studenciak”, a gospodarzyć to potrafi. Grzeczności i uprzejmości mu nie brakowało. Został przez wszystkich po lubiany. Nie tylko zajmował się pracą w polu, lecz także pomagał i matce przy pracach kuchennych. I tak rok po roku w gospodarstwie WNOROWSKICH było coraz lepiej i dostatniej.

W 1827r. Umiera mu matka. Na Gabriela spada jeszcze większy ciężar. Musi się od tej pory zająć nie tylko pracą w polu, lecz także i w domu. Bratu Józefowi mimo, że zdrowie się poprawiło, ale nie można było na niego liczyć. Przeszło dwa lata był bez gospodyni. W końcu w 1829r. ożenił się Gabriel Wnorowski we wsi Grodzkie Stare z Adolfiną Grodzką. Ślub odbył się w Kuleszach Kościelnych bardzo uroczystie. Po ślubie Gabriel zabrał żonę do siebie tzn. do Pażoch. Tak to Gabriel uwolnił się od prac kuchennych. Teraz tymi sprawami zajmowała się jego żona. I teraz mógł jeździć do Warszawy w sprawach handlowych. Wracał trochę zamyślony i podenerwowany. Mówił do żony, że zanoszą się na powstanie. We Francji i Austrii są jakieś rozruchy.

Koledzy mu donieśli, że w Warszawie lada dzień ma wybuchnąć powstanie przeciwko caratowi. W roku 1830 wracając z wyprawy handlowej z Warszawy, przywiózł ze sobą współtowarzyszy. Razem z nimi zbierał mężczyzn z całej okolicy i przeprowadzał z nimi potajemne ćwiczenia w lasach. Spieszył się, aby ukończyć wszystkie prace w polu i wyruszyć z kolegami do Warszawy i wziąć udział w powstaniu listopadowym. Na szczęście bratu Józefowi zdrowie się polepszyło, więc Gabriel mógł sobie wyjechać. Pożegnał brzemienną żonę i poprosił Józefa i Sikorską Bronisławę, aby się nią zaopiekowała. Sikorska Bronisława miała zamieszkać u Adolfiny. Teraz mógł wyruszyć z kolegami do Warszawy.

W Warszawie został przydzielony do jednostki powstańczej. W powstaniu brał czynny udział, między innymi w natarciu na rosyjskie koszary. Z wszelkich potyczek wyszedł cało. Mimo, że było wiele bitew przegranych, nie upadł na duchu, lecz jeszcze dodawał otuchy innym. W między czasie dochodziły wieści, że decydująca bitwa ma się odbyć pod Ostrołką, dlatego podążył tam wraz z innymi by wziąć tam czynny udział. Po przegranej bitwie pod Ostrołką Gabriel wrócił do Warszawy. Miał nadzieję, że muszą odnieść zwycięstwo. Brak jedności w dowództwie powoduje, że powstanie upada. Rozbitkowie koncentrują się koło Płocka, tam także i Gabriel. Natarcie na wroga nie udało się. Powstańcy złożyli broń i zaczynają prowadzić życie tułaczę czy to w kraju czy za granicą. Gabriel nie złożył broni. Zorganizował oddział i jako dowódca prowadził walkę podjazdową.

Tęsknił za domem. Chciał się przecież zobaczyć z żoną i dzieckiem, które na pewno już się urodziło, gdyż jak opuszczał dom Adolfiną była przy „nadziei”. Postanowił powrócić do domu. Zostawiwszy większość współtowarzyszy w lesie, szedł ostrożnie, aby nie natknąć się na wroga. Omijał wszystkie większe trakty, gdyż przy nich było wojsko carskie. Wybierał sobie knieje i zarośla, by w ten sposób nie zostać przez wroga zauważony.

Podróż ta zabrała mu kilka ładnych dni, zanim doszedł do Wnór Pażocha. Gdy się zbliżał do domu, to serce zaczynało mu coraz szybciej bić. Gdy zapukał do okna i usłyszał głos żony i płacz dziecka, jeszcze mocniej zaczęło mu bić serce. Ktoś w domu odezwał się – kto tam ? Odpowiedział to ja, Gabriel. Otwórz! Otworzywszy drzwi, wpadli sobie w objęcia. Ucałował wtedy także i dziecko i zapytał Adolfinę, czy to chłopiec czy dziewczynka ? Odpowiedziała mu żona, że to dziewczynka a na imię ma Anna. Gabriel bardzo się ucieszył. Adolfiną zapytała czy jest sam. Odpowiedział, że nie. Są jeszcze koledzy. Poprosiła aby ich zawołał i zrobiła im wszystkim ciepły posiłek.

Wszyscy się najedli i zaczęli opowiadać o swoim udziale w powstaniu, o zwycięstwach i klęskach jakie ponieśli w Warszawie i pod Ostrołęką.

Nocleg spędzali w zabudowaniach gospodarczych w stodole na postaniu ze słomy. Tam też przebywali przez cały dzień, by nikt o nich nie wiedział i żeby na ich trop nie wpadło wojsko carskie. Gabriel był przecież ścigany. W nocy przychodzili do mieszkania na posiłki. W tym czasie Gabriela odwiedzali tylko zaufani ludzie i brat Józef.

I tak Gabriel spędził razem ze swymi chłopcami „z lasu” kilka ładnych dni. Zdecydowali, że czas ruszyć w drogę. Ucałowawszy żonę Adolfinę i małą córeczkę Annę wyruszył w drogę, opuszczając rodzinę i Wnory Pażochy. Nadmienił także wtedy, że może ostatni raz jest w tych stronach i zalał się rzewnymi łzami.

Udał się w okolice Czerwonego Boru. Jego oddział napadał na placówki carskie. Gabriel walcząc, wierzył, że przyczyni się niewątpliwie do zrzucenia jarzma carskiego, wywalczy wolną i niepodległą Ojczyznę. Władze carskie były zaniepokojone napadami ze strony tegoż oddziału pod dowództwem Gabriela Wnorowskiego, pseudonim „wilk”. Za schwytanie tegoż dowódcy wyznaczono wysoką nagrodę pieniężną w wysokości 100.000,- rubli.

Gabriel przez władze carskie był poszukiwany w domu – w Pażochach, tutaj szukano jego kryjówki. Adolfinę bito i maltretowano w tym celu, by powiedziała gdzie jest jej mąż i jego kryjówka. Odpowiadała, że nie wie gdzie jest i że od roku go nie widziała. W tym czasie spalono zabudowania gospodarcze. Gabriela nikt nie zdradził. Nie pomogła także obiecana przez władze carskie wysoka nagroda za jego głowę. Adolfina była bardzo przestraszona. Przez dłuższy czas nie nocowała w domu. Podupała na zdrowiu. Z oddziału pod dowództwem Gabriela Wnorowskiego nikogo nie schwytano. Tenże oddział partyzancki prawdopodobnie przeszedł granicę i udał się do Francji. Wszystko ucichło. Adolfina zachorowała. Z tej choroby już nie wyszła. Po kilkumiesięcznej chorobie zmarła. Małą Anną – córką Gabriela zajęła się Pani Sikorska z Pażoch. Na pogrzeb Adolfiny przybyli liczni mieszkańcy zew wsi Wnory Pażochy jak i z okolicznych wsi. Trumnę ze zwłokami niesiono przez przeszło pięć „wiorstw”. Była to jakby manifestacja. Nad mogiłą Adolfiny wygłosił pożegnalną mowę ks. proboszcz z Kulesz. W imieniu Adolfiny pożegnał małą Annę, wszystkich krewnych i znajomych. Oddział carski stacjonujący w tych okolicach nie przeszkadzał w uroczystościach pogrzebowych. Ludzie szemrali między sobą, że Adolfina zeszła z tego świata przez nieprzyjaciół carskich.

W czasie kiedy Gabriel brał udział w powstaniu, jego brat Józef ożenił się. Doczekał się córeczki, której dano imię Zosia. Po pogrzebie Adolfiny udał się do Pani Sikorskiej po odbiór Anny, przy czym oświadczył, że jego córka chociaż jest młodsza o rok od Anny, to jednak dobrze by było, by razem się bawiły i wychowywały się w jego domu. Pani Sikorska zgodziła się na wydanie Anny. Annę traktowano na równi z Zosią. Zresztą Józef obiecał bratu Gabrielowi, że zaopiekuje się Anną. Gdy dziewczynki podrosły, zaczęły się nieporozumienia. Anna zaczęła być źle traktowana. Uważano ją za 'głupią'. Kazano jej spać byle gdzie. Pędzono do roboty i to bardzo ciężkiej. Anna wówczas miała zaledwie 10 lat. Sukienki jej zawsze sztyto ze zgrzebnego materiału z tego samego co worki. Niejednokrotnie podany jej posiłek zabierano i wyrzucano na śmietnik. W ten sposób była traktowana przez matkę Zosi. Pewnego razu, gdyby nie ostrzegła Anny służąca, byłaby otruta. Służąca podsłuchiwała, iż zamierzano otruć Annę. Ostrzegła ją, by przygotowanego posiłku nie jadła, Anna niby jadła, ale tak naprawdę wszystko wylała za płot. Na drugi dzień zauważono, że pod płotem leżą otrute koty tym jadłem. Służąca uciekła od Wnorowskich Józefów. Rozpowiedziała w całej okolicy, że Annę Stryjna chciała otruć, ale tylko dzięki niej Anna żyje. Anna też uciekła do krewnych, którzy mieszkali w Giemzinie. W krótkim czasie Józefowa zachorowała i po kilku tygodniach zmarła. Józef po jej śmierci zabiegał o to, by Annę sprowadzić do siebie. Udał się po nią do Giemzina, gdzie przebywała u krewnych. Stryj prosił, by się nie gniewała i wracała czym prędzej razem z nim do Pażoch. Anna będąc jeszcze pod wrażeniem tamtego zajścia, zgodziła się jednak na powrót do Stryja.

Stosunki między Anną i Zosią układały się do tej pory dobrze. Nie miał bowiem kto podżegać. Razem chodzą się na spacer i w gościnę. Między domownikami zapanowała iście przykładowa zgoda.

Wtedy Anna skończyła 20 lat. Była uroczą dziewczyną. Oglądali się za nią też przystojni mężczyźni. Stryj Józef nie chciał dzielić gospodarstwa. Wolał, by Anna wyszła z domu. Całe gospodarstwo chciał przekazać Zosi i ogłosić ją dziedziczką. Szukał chętnego, by Annę zabrał z domu. Obiecywał jej duży posag. Nadarzyła się okazja. Kawaler z Wykna Starego – Jan Kulesza – jeden z czterech braci – szukał właśnie bogatej panny.

Jan Kulesza uczył się w Warszawie, był lekkiego usposobienia, zamierzał w Warszawie założyć jakiś interes. Potrzebne były mu pieniądze. Wysłał swata do Józefa Wnorowskiego z Wnór Pażoch. Swat został przyjęty przez Józefa bardzo życzliwie. Józef zaprosił Jana Kuleszę, kawalera z Wykna Starego. Jan przybył ze swatem. Przywitał się z Józefem i Anną. Anna była trochę onieśmielona, zalała się łzami i

wyszła do drugiego pokoju. Jan i Anna przypadli sobie do gustu. Anna bała się trochę. Jan przecież był człowiekiem światowym i to bardzo przystojnym. Obawiała się, że wywiezie ją do Warszawy i tam zostawi.

Józef był zadowolony ze swatów. Cieszył się, że już niedługo pozbędzie się bratanki. Józef mówił do Jana, że bratanka otrzyma od niego duży posag, ale była to tylko obietnica. Jan nie liczył na to. Był człowiekiem zamożnym. Mógł jeszcze dać pożyczkę Józefowi. Ustalono wtedy termin wesela. Uroczystości weselne odbyły się w czerwcu 1852r. Młodej parze ślubu udzielił ks. Jamiołkowski, proboszcz parafii Kulesze Kościelne. Po tym weselu, zresztą bardzo hucznym – Jan zabrał Annę do rodzinnej wsi Wykno Stare, parafia Kulesze Kościelne. Anna została mile powitana i przyjęta przez rodzinę Jana. Na nowym miejscu Anna czuła się trochę nieswojo. Z każdym dniem była smutniejsza. Spostrzegli to też bracia Jana. Myśleli, że jest ona chora. Nie chciała zwierzać się nikomu ze swoich kłopotów. Okazało się później, że bardzo tęskniła za rodzinną wsią Wnory Pażochy. Obawiała się najbardziej tego, że Jan może wyjechać do Warszawy, z takimi kiedyś nosił się zamiarami. Kiedy Jan spotkał się sam na sam z Anną oświadczył jej, że zmienił swoje dotychczasowe zamiary. Otóż nie wyjedzie do Warszawy szukać tam szczęścia, lecz osiedzi na stałe we Wnorach Pażochach. Annie kamień spadł z serca, gdyż należała się jej przecież większa część majątku ziemskiego. W Wyknie Starym rodzice Jana mieli swój las, dlatego więc był materiał budowlany. Jedyną kwestią było to, że materiał trzeba przewieźć. Anna w związku z takim obrotem sprawy, rozplakała się, ale tym razem z radości. Wróciła przecież tam, gdzie się urodziła. Mimo tego, że za swoich lat dziecięcych doznała pewnych przykrości ze strony swojej stryjenki – Józefowej, to i tak tęskniła za rodzinnymi stronami. W dowód wdzięczności za podjęcie słusznej decyzji przez męża, nagrodziła go pocałunkiem. Wkrótce Jan pojechał do Józefa, stryja Anny i oświadczył mu, że nie bierze żadnej spłaty z majątku, lecz będzie się budował w Pażochach i zabiera w związku z tym część majątku ziemskiego, przypadającą Annie i będzie tu gospodarzył. Józef nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Bardzo się zdenerwował. Doszło do ostrej wymiany słów, a nawet do gróźb. W końcu Józef ustąpił. Pogodził się z losem. Jan zaczął zwozić budulec. Wynajął fachowców do budowy domu. Zwiózł szybko drzewo na budowę zwłaszcza, że dostał od rodziców ponadto jako posag dwie młode klacze z wozami. Przy budowie pomagali również bracia Jana. Jan nie mając gdzie zamieszkać z żoną, wynajął pomieszczenie mieszkalne u Państwa Sikorskich i przywiózł Annę do Pażoch.

Zaczęła się budowa. Belka po belce i dom rósł z dnia na dzień. Tymczasem zbliżały się żniwa. Józef, stryj jak go nazywano, nie chciał odstąpić Janowi choćby

części stodoły, by pomieścić w niej zboże, które było skoszone. Nie chciał mu też wydać pewnej części zasiewów ze zbożem. W końcu poszedł na ustępstwa, odstępując pewną część zasiewów i część stodoły z klepiskiem. Jan korzystając z pomocy sąsiedzkiej i swych braci, ukończył żniwa. Część zebranego zboża z pól zwiózł do stodoły, część zaś postanowił złożyć w stogi. Zwiózł zboże szybko wymłócił, gdyż słoma była mu potrzebna na przykrycie dachu.

Anna przygotowywała posiłki dla robotników, Jan zaś kierował budową. Budowa domu posuwała się dosyć szybko. W końcu dom był gotowy. Zawisł wianek na szczycie krokwi. Należało wtedy przybić "łaty" i dach przykryć słomą. Słomę przywieźli z Wykna bracia Jana. Praca szła dosyć szybko. Jedni kręcili snopki, drudzy pokrywali dach, inni zaś młócili zboże, żeby czym prędzej przygotować słomę, potrzebną do przykrycia dachu. Dzięki życzliwej pomocy ze strony sąsiadów dach domu był gotowy. Ten sam cieśla, który budował dom, zabrał się do robienia okien, drzwi i podłóg, na razie tylko w części domu.

Zboża jare skoszono szybciej niż zboża ozime, ponieważ było ich znacznie mniej. Zboża te jak wiadomo przypadły z podziału i zostały zwiezione do stogów. Po ukończonych żniwach trzeba było myśleć o zaoraniu pól i przygotowaniu ich pod uprawę zbóż ozimych – żyta i pszenicy. Do orki było przeznaczonych kilka wołów. Część z nich Jan otrzymał od swych braci, część zaś nabył za własne pieniądze. Dwaj robotnicy byli specjalnie zatrudnieni przy orce i obsłudze wołów. Tymczasem trwały prace wykończeniowe w zbudowanym domu. Cieśla kończył stolarkę, murarze kończyli budowę komina i pieca chlebowego. W owych czasach piekło się chleb samemu. W końcu nadszedł dzień bardzo uroczysty – przeprowadzka do swego nowo zbudowanego domu. Był to upragniony dzień Anny. Przeprowadzka odbyła się z domu Państwa Sikorskich. Było zaproszonych dosyć dużo gości. Poświęcania domu dokonał ks. Jamiołkowski, proboszcz parafii Kulesze Kościelne.

Po uroczystościach i gdy goście się rozeszli, Anna się rozplakała, ale z radości. Miała bowiem przebywać gdzieś w dalekim „świecie”, tymczasem została w swych rodzinnych stronach, na swoim majątku ziemskim. Anna i Jan zamieszkali we własnym domu. To, co osiągnęli w tak krótkim czasie, zawdzięczali braciom z Wykna i dobrym sąsiadom. Po kilku tygodniach pobytu w Pażochach, Jan Kulesza pojechał do Wykna Starego do braci, aby dokonać ogólnego rozliczenia nakładów finansowych, jakie bracia ponieśli w związku z przeprowadzką Jana do Wnór Pażoch i budową domu. Z uwagi na to, iż bracia ponieśli dość duże nakłady finansowe, Jan zrezygnował z przypadającej mu części pól uprawnych, jakie by mu się należały, gdyby podział

nastąpił. Zatrzymał jedynie 20 mórg lasu, położonego w okolicach Wykna Starego. Jan nie poprzestał na budowie domu. Postanowił zbudować jeszcze drewniane chlewy i stodołę. Wiadomo było, że dobytku nie miał gdzie pomieścić. Gumno było zbyt ciasne. Drzewa budulcowego w lesie, który mu przypadł, nie brakowało. Przy pomocy sąsiadów przywiózł odpowiednią ilość sosen. Zatrudnił traczy i zaczął drzewo ciąć na belki i deski potrzebne do budowy. Praca szła na trzy piły tartaczne. Niebawem drzewo budulcowe było gotowe. Do budowy stodoły i chlewów Jan zatrudnił tego samego cieślę, który budował dom. Był to człowiek pracowity i sumienny. Janowi znowu pomagają krewni i sąsiedzi. Budowa szła szybko. Przed zimą większa część tej budowy była gotowa. Teraz będzie można pomieścić dobytek. Roboty było dużo. Trzeba było zaorać pole i przeznaczyć je pod zasiew zbóż ozimych. Około 15 września były już zakończone siewy żyta i pszenicy. Jan Kulesza, jak wiadomo nie miał przygotowania rolniczego, przedtem spędzał czas w Warszawie. Trudno więc mu się dziwić, że nie umiał zasiać zboża. Prace te wykonywał razem ze swoim bratem z Wykna. Zasiał dosyć dużo sam. Rozsiew zboża odbywał się wówczas ręcznie. Gdy weszło to zboże, okazało się, że pracę tę wykonał dość dobrze. Przy wykopkach ziemniaków było mniej roboty, bo posadzono je na mniejszym obszarze, jako że stryj dał Janowi małą ilość sadzeniaków.

Nadeszła zima. W czasie zimy nie było wiele roboty. Jan krzątał się po gospodarstwie. Oporządkował dobytek. Zajmował się młócką zboża i wykonywał inne prace. Zima była łagodna. Anna spodziewała się dziecka. W końcu nadszedł dzień rozwiązania. Anna urodziła syna, któremu na chrzcie dano imię Konstanty. Cieszyła się bardzo synem. Chrzciny odbyły się dosyć hucznie. Wtedy nadeszła wiosna. Tym razem nie prosił brata do pomocy przy siewach wiosennych. Miał przecież już w tym kierunku praktykę. Zasiał więc jare, posadził kartofle i inne rośliny. Jan teraz przeciągnął na swoje siedlisko część stodoły, jaka mu przypadła z podziału. Stryj Józef nie był z tego zadowolony. Początkowo stawiał mu opór, ale później pogodził się już z takim losem. Jan zaczął budować następnie chlewy. Ludzie ze wsi go podziwiali. Mówili, że taki obieżyświat, a wszystko potrafi zrobić. Wszyscy go polubili, nawet stryj Józef. Nadeszły drugie żniwa. Zboża były urodzajne, było ich więcej. Teraz mając więcej pomieszczeń, mógł je pomieścić. zbiór zboża nastąpił jak zwykle przy pomocy sąsiadów. Anna nie wychodziła w pole, była zajęta przy sporządzaniu posiłków dla żniwiarzy i pielęgnowaniu syna. Jak wspomniałem na wstępie, w gospodarstwach rolnych występowała w dalszym ciągu trójpolówka zboża ozime, jare, ugor. Dwie pary wołów były wykorzystywane do zaorywania ugoru. Najpierw wykonywano orkę pługową i bronowanie, a po żniwach była już orka głęboka, aby przygotować pole pod zasiew żyta i pszenicy. Jan Kulesza w tak krótkim czasie osiągnął wiele, ale i poniósł

wiele wydatków. Zabrakło mu w końcu środków finansowych. Musiał więc sobie jakoś radzić. Podobnie jak jego teść Gabriel Wnorowski zajął się handlem zbożem. Wywiózł je do Warszawy, spieniężył i otrzymał gotówkę. Zboże przewoził czterema furami do Warszawy, dwiema swoimi, a dwiema wypożyczonymi od braci. Drogę do Warszawy nie łatwo przebyć. Po drodze spotykano rabusiów i trzeba im było stawić opór. W Warszawie nie było trudno Janowi upłynnić zboże, ponieważ znał przecież kupców. Jeden z kupców odbierał zawsze od Jana zboże i chwalił jego towar. Pewnego razu wyraził się w ten sposób: Panie Kulesza, od Pana zboże jest najlepsze. Płacił mu najwyższą cenę. Po zakończonej sprzedaży Jan miał zwyczaj kupować prezenty dla domowników, a przeważnie dla żony Anny. Nie zapominał również o małym Kostusiu. Później zwiedzał Warszawę, a dla tych, z którymi przybył, był przewodnikiem. Droga powrotna zawsze była łatwiejsza. Nie mając obciążenia, można ją było przebyć o wiele szybciej niż w kierunku do Warszawy.

Anna z niecierpliwością oczekiwała na powrót męża. Po powrocie była zawsze obdarowana prezentami. Jan po każdym powrocie dzielił się wrażeniami z podróży. Mając większą gotówkę, mógł ją rozporządzać. Zimową porą Janowi dużo czasu zajmowała młócka, która odbywała się cepami. Wieczory zaś, jako że były długie, wypełnione były gawędami. I tak schodził dzień po dniu, wieczór po wieczorze. Tak przechodziła zima. Po zimie nadchodziła wiosna. Zaczynały się prace w polu. Po ich ukończeniu Jan wyruszył z towarem do Warszawy i znowu nadchodziły żniwa. W roku 1854, zaraz po Trzech Królach przyszedł na świat drugi syn, który otrzymał na imię Walenty - mój ojciec. Pod koniec stycznia tego roku odbyły się drugie chrzciny połączone z przyjęciem. Na przyjęciu było dużo gości. Gdy zaczynało się ściemniać, goście zaczynali się rozchodzić. Jan też wychodził razem z nimi i w tym czasie załatwiał jakieś interesy w sąsiedniej wsi. Jechał furmanką. Po drodze zabierał "babkę" dawniej tak nazywano akuszerkę, która odbierała dzieci przy porodzie. W domu została Anna sama w jednym pokoju, a stara Sikorska w drugim. Sikorska po przyjęciu na chrzcinach była lekko pod wpływem alkoholu, więc drzemała. Był wtedy dobry zmierzch. Do domu Anny i Jana przyszedł jakiś wędrowiec w starszym wieku. Powiedział do Anny, że zostanie na nocleg. Anna była wystraszona, odpowiadając wędrowcowi, że nie może go przyjąć, jest sama, a gospodarza nie ma. Nie pomogły prośby Anny, wędrowiec odpowiedział stanowczo, że tu zostanie. Anna była bezradna. Wędrowiec zdjął płaszcz i buty i położył się na łóżko. Jan, jak na złość nie wracał. W końcu powrócił. Anna opowiedziała mu całą tę historię w obecności wędrowca. Wędrowiec jeszcze raz – ale w obecności Jana – opowiedział, że „zostaje i mnie stąd nie wyrzucicie”. Gdy wypowiedział te słowa – położył się ponownie na łóżko. Zwrócił się do Jana z zapytaniem, czy jest gospodarzem? Jan odpowiedział, że tak. Potem zaczął

wypytywać Jana o wszystko, a między innymi – skąd Jan pochodzi. Jan odpowiedział mu, że pochodzi z Wykna Starego, a w Pażochach został przypadkowo gospodarzem. Miał przecież inne zamiary, przebywał w Warszawie, tam się uczył, tam miał założyć jakiś interes, tymczasem znalazł się we Wronach Pażochach, żeniąc się z dziedziczką jedynaczką Anną Wnorowską. Z rozmowy z wędrowcem wynikało, że zna on bardzo dobrze Warszawę. Jan poprosił Annę, aby na cześć miłego gościa przygotowała jakieś przyjęcie. Wędrowiec przyjął zaproszenie. Przy stole zasiedli wszyscy troje. Przybysz czuł się, jakby w tym domu był od dawna. Jan przybysza nie omieszkął poczęstować gorzałką. Przybysz dużo mówił i był w dobrym humorze. Opowiedział bardzo dużo o Francji, Anglii i innych krajach. Nadmienił też o jarzmie carskim, w jakim nasz kraj się znalazł. Gdy tak rozmawiali z drugiego pokoju wyszła kobieta. Jak się okazało, była to stara Sikorska, która będąc na chrzcinach, została, bo się upiła i potem drzemała. ,Gdy wędrowiec zobaczył tę kobietę, zmieszał się, poczerwieniał i zamilkł. Gdy Sikorska oczy przetarła i zaczęła się przyglądać temu wędrowcowi nagle wykrzyknęła: kogo ja widzę! To pan Gabriel! Przyjechał do swojej córki! Jeszcze pijana – powtarzała kilkakrotnie :pan Gabriel. pan Gabriel.....! I zaczęła opowiadać o Annie, jakież to ona miała nieszczęśliwe dzieciństwo, próbowano ją otruć, tylko w porę ją ostrzeżono itd. Plotła co tylko na język jej przyniosło. Anna miała się już rzucić przed przybyszem na kolana i powitać ojca, a tymczasem – przybysz ze złością się odezwał: Proszę odczepić się ode mnie ! Nie jestem żadnym Gabrielem ! Upiłeś się babo ! Jeszcze raz ci mówię – odczep się ode mnie. Idź spać babo ! A ona na to odpowiedziała: Co chcecie we mnie wmówić, że ja Was nie poznałam ? Jesteście ojcem Anny i nie wypierajcie się ! Wędrowiec zdenerwowany odpowiedział: wyprowadźcie tę kobietę, czego ona się do mnie przyczepiła ? Powiedział do Jana – proszę wskazać miejsce, gdzie ją mam położyć. Jestem zmęczony i chcę już spać. Wtedy Anna przygotowała pośłanie i na tym cała rozmowa się zakończyła. Stara Sikorska opuściła mieszkanie ale Janowi nie odpuściła, obwieszczała we wsi, że do Anny przyjechał ojciec – Gabriel Wnorowski. To ten, co tak z caratem walczył. Krzyki Sikorskiej usłyszeli ludzie we wsi i się wokół niej się zgromadzili. Mówiła: - pamiętam go jako ucznia, jak przyjeżdżał z Warszawy. Pamiętała, że po śmierci ojca dobrze gospodarzył. Poszedł w świat zostawiając żonę i dziecko. Powtarzała wiele razy – on jest Gabrielem Wnorowskim i nie może się wyprzeć córki.

Wędrowiec nie mógł spokojnie spać, wystraszył się wstał z łóżka gdzieś około północy, wziął kozuch Jana i wyszedł na dwór. Długo nie wracał. Jan i Anna zaczęli się niepokoić. Jan również wstał z łóżka, wziął strzelbę i poszedł zobaczyć, co on tam robi. Odnalazł go za stodołą. Tam coś odmierzał krokami, wbijał paliki i na nich coś pisał. Naraz spostrzegł Jana i odezwał się do niego: Gospodarzu ! - boicie się o swój kozuch

? Ja, nie bałem się zostawić "czegoś" za stołem, za co można byłoby kupić kilka wiosek było to zapewne złoto. Jan odpowiedział nie, nie obawiam się, lecz obecnie czasy są niespokojne i trzeba być ostrożnym. Wędrowiec zdenerwował się i powiedział: wracajmy do domu i połóżmy się spać! Nie rozmawiając więcej ze sobą, wrócili do mieszkania i położyli się spać Jan nie mógł zasnąć, różne myśli przychodziły mu do głowy. Wędrowiec też mało spał. Około godziny trzeciej nad ranem wstał. Nie odzywając się do domowników, ubrał się i wyszedł bez pożegnania. Już nikt więcej go nie widział.

Jan był ciekawy, co wędrowiec robił w nocy za stodołą. Poszedł więc rano aby sprawdzić. Otóż na każdym paliku było napisane – tu granica, odorać! Jan był tym zdziwiony, zawołał więc stryja Józefa. Stryj chociaż czuł się nie najlepiej, przyszedł więc zobaczyć. Zobaczywszy to, rzekł do Jana: tu zaorzemy miedzę, jako granicę między naszymi siedliskami. Jan opowiedział stryjowi wszystko o tym wędrowcu, powiedział mu, że to musiał być jego brać – Gabriel Wnorowski. Wędrowiec, jak się wyraził Jan, nie mógł powiedzieć, że jest Gabrielem, bo mógłby w ten sposób sprowadzić na siebie nieszczęście grożące mu ze strony żandarmerii carskiej. A mimo to i tak na drugi dzień koło południa żandarmeria poszukiwała wędrowca we wsi, a w szczególności u Jana i Anny. Żandarmi pytali gdzie ukryli tego „buntowszczyka” ? Jeżeli nie powiedzą to zostaną zesłani na Sybir. Przeprowadzano rewizję w domu i w zabudowaniach gospodarczych. Sikorską też pytano, gdzie mógł się ukryć ten wędrowiec. Jan i Anna oświadczyli, że był u nich jakiś podróżny, lecz nad ranem poszedł w nieznanym kierunku i ślad po nim zaginął. Sikorska zaś tłumaczyła, że człowiek ten wprawdzie był podobny do poszukiwanego, ale nie była tego pewna. U stryja Józefa też była przeprowadzana rewizja. Żandarmi w końcu odjechali. Gdyby Pani Sikorska głośno o tym nie mówiła, poszukiwania nie były by prowadzone. Ludzie ze wsi chcieli zobaczyć ojca Anny i dlatego się gromadzili. Prawie w każdej wsi byli donosiciele, dobrze opłacani przez żandarmerię carską. We wsi zapewne wówczas też był donosiciel, bo skąd by żandarmi o tym wiedzieli ? Jak się później okazało, wędrowiec, który nocował u Anny i Jana, był rzeczywiście Gabrielem Wnorowskim, ojcem Anny. Potwierdzili to krewni z Leśniowa i Stypułek. Opowiedzieli Annie, że Gabriel był u nich, jak tylko żandarmeria zaniechała dalszych poszukiwań. Opowiedział im, co u Anny i Jana słyszał. Zapewne przyznałby się, że jest ojcem Anny, gdyby nie ta historia z Sikorską. Oświadczył im, że jeśli będzie żył i zdrowie będzie mu dopisywało, odwiedzi Annę raz jeszcze. A jeśli nie dożyje tej chwili, to w inny sposób zostanie obdarowana w postaci spadku dla Anny na wypadek śmierci.

Później już coraz mniej mówiło się o Gabrielu. Janowi i Annie powodziło się coraz lepiej. Doczekali się jeszcze dwoje dzieci, chłopca i dziewczynki. Chłopcu dano na imię Leopold, a dziewczynce Stanisława. Wszystkie dzieci chowały się dobrze. Pewnego razu przyszła do Anny w odwiedziny Pani Sikorska, synowa, która rozpoznała w osobie wędrowca, ojca Anny, Gabriela. Mówiła: wie pani co ? Otóż mój Antoni przyjechał z Warszawy i przywiózł dla Pani dobre wieści. Wieści o tym, że czytała ogłoszenie, w którym wyczytała, że po jakimś Wnorowskim z Francji jest duży spadek i że szuka się spadkobierców. Spadek ten jest widocznie po Gabrielu, Pani ojcu. Radziła więc Annie, aby jej mąż Jan wybrał się w tej sprawie do Warszawy i skontaktował się z jakimś dobrym adwokatem. Mówiła, że mężowie mogą pojechać razem. Jan wysłuchał Sikorskiej i powiedział: Już dosyć w życiu przeszedłem, trzeba się najpierw skontaktować z Ks. Jamiołkowskim, proboszczem z Kulesz, on najlepiej doradzi, jak należy załatwiać sprawy spadkowe. Dlatego do proboszcza Jan wysłał Annę. Naładował pełną furę zboża, przysługiwała w tych czasach dla proboszcza dziesięcina i kazał jechać z Anną jednemu chłopcu. Proboszcz podziękował za zboże i życzył następnych lat dobrych urodzajów, ale Anna mówi do niego: księżę proboszczu, mam do Księdza proboszcza pilną sprawę i zaczęła opowiadać; Może ksiądz słyszał, że kilka lat temu nocował u mnie pewien wędrowiec, w osobie którego Sikorska z Pażoch rozpoznała mego ojca Gabriela. Mimo, że wędrowiec nie chciał ujawnić kim jest, to jednak później okazało się, że jest moim ojcem, potwierdzili to moi krewni. Był u nich i powiedział, że się ukrywał przed żandarmerią carską i dlatego będąc u córki Anny nie mógł wyjawić kim jest. Powiedział, że jeszcze ją odwiedzi i że ją dobrze obdaruje, a jeśli nie zdąży przed śmiercią, to otrzyma duży spadek. Ksiądz proboszcz wysłuchał całej tej historii i się zmieszał, a nawet poczerwieniał. Wiedział o co chodzi, ale wolał nic nie mówić. Na koniec powiedział, że coś tam było, ale nie po Wnorowskim, że ta sprawa jest już nieaktualna. Jedźcie Kulesino do domu i tym nie zawracajcie sobie głowy. Z tym pocieszeniem od księdza proboszcza Anna wróciła do domu. Rozmowę z proboszczem zrelacjonowała Janowi. Jan na wszystko machnął ręką.

W międzyczasie z Warszawy wrócił Antoni Sikorski i poinformował swoją żonę i Annę o tym, że spadek przysługujący Annie zabrali nieprawnie bracia Wnorowscy, Piotr i Paweł o przezwisku "Żylaki". Oni byli wozakami w Warszawie. Mieli po parze koni i zajmowali się usługami przewozowymi. Gdy dowiedzieli się, że jest jakiś spadek, udali się do adwokata, Rosjanina i księdza Jamiołkowskiego, proboszcza Kulesze Kościelne. Prosili proboszcza, aby nic nie mówił o tym spadku Annie, wiedząc o tym, że nie są prawnymi spadkobiercami. Powiedzieli, że jak się ona do księdza zjawi, to proszę ją jakoś zbyć. Gdy Anna dotarła do księdza w sprawach spadkowych okazało

się, że spadek został już odebrany przez owych braci Piotra i Pawła Wnorowskich. Księdzu Jamiołkowskiemu przypadła też duża jego część. Sikorska razem z Anną, zaczęły złożyć przeciwko nieprawowitym spadkobiercom. Powinni ponieść za to jakąś karę. A kara niebawem ich dosięgła ! Pewnego razu ks. proboszcz Jamiołkowski jadąc bryczką do chorego, spłoszyły mu się konie i zaczęły tak się kręcić w kółko, że ks. Jamiołkowski spadł na ziemię i został przez nie stratowany. Jak wiadomo koni nikt nie spłoszył celowo. Jawna kara spadła na proboszcza – rzekła Sikorska. Pogrzeb proboszcza odbył się bardzo skromnie. Nieliczni byli tylko na jego pogrzebie. Szeptali między sobą, że proboszcz był współnikiem „Żylaków”, jeżeli chodzi o spadek. Wiadomości o „Żylakach” przywoził z Warszawy Antoni Sikorski. Dowiedział się, że oni w dalszym ciągu prowadzili swoje przedsiębiorstwo przewozowe, a nawet je poszerzyli. Do prac przewozowych zatrudniali teraz ludzi, natomiast sami zajmowali się zarządzaniem. Gdy tylko otrzymali spadek, kupili sobie w Warszawie dwie duże kamienice. Jedna była przeznaczona dla Pawła – druga dla Piotra. Kupili też duży majątek ziemski „Imiery” koło Warszawy. We Wnorach Pażochach też mieli trochę ziemi. Na tej schedzie gospodarzył szwagier „Żylaków” - Jazwiński wraz ze swoim synem. Przy Jazwińskim była druga siostra „Żylaków” jeszcze panna. „Żylacy” swoją siostrę ogłosili dziedziczką i wydali za mąż za Leśniewskiego, który przyjechał z Giełzina, wsi położonej w pobliżu Pażoch. Ziemia po „Żylakach” jest położona na terenie Wnór Pażoch tworzyły i tworzy dość duże gospodarstwo rolne. Nowożeńcom wybudowali duży dom, stodołę i chlewy. I tak „Żylacy” stali się właścicielami dużego folwarku „Imiery” koło Warszawy, szykowali drugi we Wnorach Pażochach wykupując ziemię. Gospodarzom płacili za ziemię wysoką cenę. W niedługim czasie stali się właścicielami przeszło 12 włók włościa – 30 mórg. Wybudowali dom, chociaż z drzewa, ale o 12 pokojach i dwóch dużych salach przeznaczonych do przyjmowania gości. Wybudowali także bardzo duże stodoły i duże obory po jednej i drugiej stronie. Zabudowania folwarczne miały bardzo ładny wygląd. Najgorsze było to, że ziemia znajdowała się w kawałkach. Namawiali gospodarzy do tego, aby przeprowadzali komasację tej ziemi. W roku 1908 do Wnór Pażoch przyjechał geodeta i dokonał pomiarów. Komasacja ziemi została zakończona w 1910r. „Żylacy” pod swój folwark otrzymali najlepszą ziemię – jak się potocznie mówiło – przy „dworze”. Gospodarze otrzymali ziemię w mniej atrakcyjnych miejscach, przy czym przy ustaleniu wielkości powierzchni ziemi, niektórzy gospodarze otrzymali jej mniej niż w rzeczywistości im się należało. „Żylacy” tę nadwyżkę ziemi zabrali dla siebie. Część tej ziemi przekazali swojemu szwagrowi Leśniewskiemu. Syna Jazwińskiego ożenili z dziedziczką w miejscowości położonej blisko miasta wysokie Mazowieckie, dając mu duże wiano. Stary Jazwiński został rządcą na folwarku we Wnorach Pażochach. Folwark ten należał do Piotra Wnorowskiego, a folwark „Imiery” pod Warszawą – do Pawła. Folwark we

Wnorach Pażochach posiadał 12 par koni i kilka par wołów. Część pieniędzy uzyskanych ze spadku ks. Jamiołkowskiego, o którym wyżej wspominałem, otrzymał jego brat, który w Jamiołkach wybudował duży murowany dom. Dom ten jeszcze do dziś można oglądać. Jeszcze wspomnę o tym folwarku w Pażochach. Otóż oprócz dużego domu, stodoły i obór, wybudowano jeszcze dwoje czworaków dla ośmiu rodzin. Dla samotnych było odpowiednie pomieszczenie w stajni o jednym dużym pokoju.

Początkowo „Żylakowi” Piotrowi wiodło się dosyć dobrze, później było coraz gorzej. Piotr, właściciel folwarku zachorował, zaś rządcą, stary Jazwiński zmarł. Gospodarstwo zaczęło podupadać. W końcu 1914r. zostało sprzedane jakiemuś Niemcowi nazwiska nie pamiętam. Zaraz po sprzedaży majątku, Piotr zmarł. Paweł w Imierach też miał niepowodzenia. W czasie I wojny światowej zmarł. Z ich kamienic w Warszawie nic nie pozostało. Kamienice zostały zniszczone. Przysłowia są mądrością narodu. Jak mówi jedno, że „kradzione nie tuczy”. Tak się w końcu kończy zachłanność ludzka. Po braciach – Wnorowskich Piotrze i Pawle pozostał tylko na pamiątkę krzyż, kawałek żelaza, obsadzony w bryle kamienia. Zlokalizowany jest on za wsią i ledwie można odczytać napis: Fundatorzy Piotr i Paweł Wnorowscy. Na mogile księdza Jamiołkowskiego stoi rozpadający się pomnik. W końcu i tam ślad po nim zaginie. Jak jedzie się gościńcem do Sokół przez Jamiołki, można zobaczyć jeszcze ten murowany dom, wybudowany dzięki ks. Jamiołkowskiemu, o czym wcześniej wspominałem. Obecnie zmienił on swój wygląd, zaczął się rozpadać. Zmienił on także już niejednego właściciela. Można teraz wywnioskować, że podstępnie otrzymany spadek, nikomu pożytku nie przyniósł. Jan i Anna, którym spadek się należał, a którego traf chciał, że nie otrzymali, powodziło się w życiu nie najgorzej. Oboje dożyli później starości. Wychowali sześcioro dzieci – czterech synów i dwie córki: Konstantego, Walentego, Józefa, Leopolda, Marię i Stanisławę. Córki powychodziły za mąż, jedna do Wnór Starych, druga do Kalinowa Czosnowa. Konstanty i Walenty podzielili się majątkiem i gospodarzyli we Wnorach Pażochach. Walentemu przypadło więcej niż połowa majątku o cztery morgi. Obaj byli żonaci. Walenty Kulesza ożenił się z Adolfiną, z którego to małżeństwa narodzili się Jan i Regina było więcej dzieci, lecz umarli. Jan Kulesza syn Walentego poszedł w świat, a jego siostra Regina Kulesza jako dziedziczka wyszła za mąż za Wnorowskiego Władysława ze wsi Wnory Pażochy wiechy.

Z małżeństwa tego narodziło się siedmioro dzieci: Mieczysław, Władysław, Tadeusz, Kazimierz, Zygmunt, Jan i Krystyna. Józef syn Jana służył bardzo długo w wojsku rosyjskim. Po powrocie wkrótce zmarł. Leopold syn Jana też służył w wojsku

rosyjskim, daleko na Syberii w mieście Czycze przez 5 lat. Brał udział w rewolucji 1905 r. Po powrocie z wojska przebywał bardzo krótko w domu i wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Był tam krótko. Zarobił na powrotną podróż i wrócił do kraju. Z kraju wyjechał znowu do Rosji do miasta Czycze. Po kilku latach wrócił do kraju, aby się ożenić. Wkrótce znowu pojechał do Rosji aby prowadził tam jakiś interes. I tam zakończył swój żywot. Miał dwoje dzieci, ale nikt w Polsce ich nie widział. Anna zmarła pięć lat przed jej Janem. Jan zmarł w roku 1910, nigdy nie chorując. Kiedy zachorował, to powiedział, że nadszedł już koniec jego życia.

Miałem wówczas cztery lata jak zmarł mój dziadek mówił o sobie Jan Kulesza syn Walentego. Dziadek w czasie wolnych chwil lubił opowiadać o Gabrielu, swoim teściu, ojcu Anny po to, aby wiedziały o historii rodzinnej przyszłe pokolenia. To opowiadanie, które przedstawiam nie jest snem, lecz jest rzeczywistością, polegającą na prawdzie.

Jan Kulesza s. Walentego i Adolfiny